

F. T.

Serce matki

Tłóm. z niemieckiego.

10

— Nie wiedziałam, że to rozchodzi się o flaszeczkę z trucizną, — odpowiedziała zapytana dzwicznym, choć trochę stłumionym głosem.

— Proszę, niech pani opowie całą sprawę.

— Było to zaraz tego samego dnia, kiedy pani baronowa do nas przybyła. Otwierałam rano drzwi pokoju, przez który wchodziło się do chorego i w którym panie zwykle przebywały. Chciałam z polecenia pana barona widzieć się z Siostrą Maryą i dowiedzieć się dokładnie, jakich usług będzie potrzebowała. W chwili, gdy otwierałam drzwi pokoju, ujrzałam panią baronową, stojącą przy wieszadle z rzeczami. W rękach trzymała jakiś mały przedmiot, jak spostrzegłam, niewielką szklaną flaszeczkę. Na hałas, sprawiony przez otwieranie drzwi, baronowa odwróciła się ku nim, bardzo zmieszana. Przez moment trzymała flaszeczkę w ręce, jakby się namyślała, co z nią zrobić, szybko jednak sięgnęła do płaszcza i tam włożyła ją do kieszeni.

— Ale pani widziała dokładnie, że to była flaszeczka?

— Owszem, widziałam. Mimo, iż cała rzecz rozegrała się w kilku sekundach, miałam dość czasu, aby dokładnie zobaczyć przedmiot, trzymany przez baronową.

— Czy pani baronowa zdradzała wielkie pomieszczenie?

— W pierwszej chwili miałam wrażenie, że się bardzo przestraszyła, gdyż zbladła i zaledwie mogła odpowiedzieć na moje pytanie. Kiedy jednak udało mi się, że zupełnie nie widziałam, co pani baronowa robiła, uspokoiła się i już nie zdradziła się wobec mnie niczem.

Prezydent chwilę się namyślał, poczem porozumiewawszy się z swymi kolegami, zwrócił się jeszcze raz do świadka.

— A czy pani mogłaby poznać tę flaszeczkę, gdybyśmy ją pani pokazali?

Świadek przez moment jakby się zawahał, lecz w tej chwili odpowiedziała zupełnie spokojnym głosem:

— Przypuszczam, że tak, widziałam ją dosyć dobrze.

Na polecenie przewodniczącego, woźny podał pannie Albanus flaszeczkę, która jako przedmiot dowodowy leżała na stole.

Panna Albanus wzięła ją powoli do ręki i zaczęła dokładnie oglądać. Nie zauważyła ona, ani nikt w sali, że dr. Ammarell, który przedtem jakby nie słuchał jej zeznań, nagle zaczął ją bacznie obserwować. W chwili, gdy panna Albanus oglądała flaszeczkę, młody adwokat przyglądał jej się z natężeniem, śledząc każdy najmniejszy jej ruch. Panna Albanus oglądała dosyć szybko flaszeczkę, poczem oświadczyła stanowczo:

— Tak, to ta sama, poznaję ją.

— Czy panowie mają jakie zapytania do świadka?

— Owszem, panie prezydencie — młody obrońca zwrócił się do panny Albanus — czy wolno wiedzieć, gdzie pani stała w chwili, gdy pani spostrzegła panią baronową w pokoju, czy już za drzwiami, czy też jeszcze w sieni?

— Jeszcze przed drzwiami, nie weszłam jeszcze do pokoju.

— A pani baronowa daleko stała od drzwi?

— Po drugiej stronie pokoju, przy przeciwległej ścianie.

— I mimo takiej odległości, pani tak dokładnie widziała trzymaną flaszeczkę?

Przez moment w twarzy panny Albanus pojawił się wyraz zakłopotania, czy przestachu. Opanowała się natychmiast i odpowiedziała śmiało.

— Pokój jest widny, a ja mam jeszcze dobry wzrok.

Adwokat nie pytał już więcej.

Na znak przewodniczącego panna Albanus oddała się widocznie zadowolona.

Pozostawał jeszcze jeden świadek do przesłuchania. Oczekiwano pojawienia się jego z wielkim napięciem. Był nim baron Wolfert. Kiedy przewodniczący polecił go wezwać, w sali zaległa podobna cisza, jak w chwili pojawienia się oskarżonej.

Kiedy po chwili baron Wolfert pojawił się przed trybunałem, nagle w audytorium rozległy się głosne okrzyki. Opinia publiczna była z góry stanowczo przeciwna niemu, a przewodniczący zaledwie zdołał dzwonkiem swym uspokoić wzburzone umysły.

Marga w chwili pojawienia się barona zbladła jeszcze bardziej. Tylko on sam zachował zupełny spokój.

Stanął przed przewodniczącym i równym głosem zaczął odpowiadać na zadawane mu pytania. Opisał więc swój stosunek do baronowej i otrutego chłopca, opowiedział o warunkach testamentu i o tem, że w końcu widział się zmuszonym wiaść chłopca pod swoją wyłączną opiekę.

— Dlaczego pan odebrał go matce?

— Były to powody osobistej natury, których tu nie chciałbym poruszać.

— Ze względu jednak na to, że są to po części motywy czynu, muszę prosić pana, baronie, o jaśniejsze tłumaczenie się.

Baron zawahał się, spojrzał ukradkiem na Margę, poczem zaczął z ociąganiem:

— Postępowanie baronowej zmusiło mnie do tego — miałem wątpliwości, że nie potrafi odpowiednio pokierować wychowaniem małego.

— Zdaje mi się, że były w grze także czysto osobiste uczucia pana, baronie, na które baronowa nie chciała odpowiadać? — rzucił nagle obrońca.

Baron zaczerwienił się.

— Po części tak, — ale...

— I dlatego odebrał jej pan dziecko, a ona dlatego wyjechała, nie chcąc wraz z panem przebywać pod jednym dachem, gdyż był pan za... uprzejmy, jak na opiekuna jej dziecka, — ciągnął dr. Ammarell nieubłaganie.

— Panie!

Przewodniczący uspokoił obu skinieniem ręki, poczem baron opowiedział o porwaniu dziecka, wreszcie o jego chorobie i otruciu.

— Wspominano tutaj o sprzeczkach, jakie były między wami w czasie ostatniego pobytu baronowej w pałacu.

— Istotnie,... ja... ja kilkakrotnie czyniłem jej przedstawienia w czasie jej pobytu przy chorym. Wskazując na ostatnie wypadki dowodziłem jej, do jakich ujemnych wyników prowadzą ustępstwa między nami i że przecież o wiele lepiej było, gdyby użyła pełne prawa matki. Obiecywałem jej, że ze swej strony wszystko zrobię, aby jej życie osłodzić i uprzyjemnić. Z początku stanowczo odrzucała wszelkie propozycje, kiedy jednak Rudolf jakby cudem został ocalony i wyrwany śmierci, stała się ustępliwszą i bardziej przystępną moim propozycjom. Zdawało mi się, że myśl powrotu do mojego domu zaczyna się u niej przyswajać. Wreszcie oświadczyła mi, że zastanowi się nad moimi propozycjami, a uczyniła to w takim tonie, że liczyłem prawie na pewno na dodatni rezultat.

— Czy oskarżona potwierdza prawdziwość tych zeznań?

— Tak, panie prezydencie, — odpowiedziała Marga wzruszona — tak strasznie obawiałam się o moje dziecko, że miałam w danej chwili tylko jedno pragnienie, być ciągle przy nim. Inaczej w razie podobnej choroby, jak owa, było bez opieki matki skazane stanowczo na śmierć.

— Taki nastrój w pani nie utrzymał się jednak długo?

— Nie, panie prezydencie — podjął baron na nowo. — Już zaraz następnego dnia dała mi kategorycznie do zrozumienia, że nie chce, nie może! A kiedy zacząłem domagać się wyjaśnień przyznała się wśród gwałtownych rumieńców, że serce jej przemówiło pierwszy raz w życiu. Gdyby wyszła za mnie, po raz drugi skłamałaby wobec życia.

Marga zawstydzona i zaskoczona tem nagłym oświadczeniem, odwróciła twarz, gdyż wszystkie oczy skierowały się na nią, Przewodniczący, widząc jej zmieszanie, nie poruszył już więcej drażliwego tematu.

Pół minuty panowała na sali głęboka cisza, potem rozprawa potoczyła się dalej. Jeden tylko człowiek pozostał jakby z marmuru wykuty i nie mógł znaleźć w sobie dość siły, aby wrócić do życia. Był nim doktor Robert Burger, na którego zeznania świadka podziały jak piorun. A więc Marga kochała? Serce jej przemówiło? Za kim? Czy dla niego, czy dla kogo innego? Czy miał się cieszyć, czy też zrezygnować w rozpacz? O niech przekłeta będzie tajemnica, w połowie tylko odkryta, która zwiększa tylko niepewność a nie usuwa jej.

Po chwili przewodniczący podjął dalsze przesłuchanie świadka.

— A więc pana prośba została odrzucona?

— Tak. Nic dziwnego, że zachowanie się takie baronowej wzbudziło we mnie wielką drażliwość. Pod wpływem zazdrości, oświadczyłem jej, że pozwolę jej pozostać w zamku tylko do następnego rana. Szczerze mówiąc — nie myślałem na serio o wykonaniu tej groźby, chciałem tylko użyć... po raz ostatni...

— ...wywrzeć na nią presję?

— Jeśli pan to tak nazywa, to dobrze. Pozostawiłem jej czas do namysłu do drugiego dnia. Oświadczyłem stanowczo, że musi rozstrzygnąć, albo natychmiast zgodzić się na moje propozycje, albo też natychmiast opuścić mój dom.

— Postawił ją więc pan przed alternatywą, albo opuści natychmiast dziecko i zostawi je w pańskich rękach, albo zostanie pana żoną. Obie rzeczy wydały jej się zarówno straszne, nie mogła na żadną z nich się zdecydować i wtedy powzięła to straszne postanowienie, o którym mówi akt oskarżenia. Pańskie zeznania rzucają zupełnie nowe światło na motyw jej czynu. Czy który z panów ma jeszcze co do powiedzenia? — zwrócił się przewodniczący do prokuratora i obrońcy.

Doktor Ammarell przytwardził.

— Chciałbym świadkowi zadać tylko jedno pytanie. Przypuśćmy, że oskarżona jest niewinna. Czy w takim razie świadek mógłby nam podać jakie wskazówki, w jakim kierunku zwróciłyby się wtedy jego podejrzenia? Czy prócz matki, jest ktoś, komu by na śmierci dziecka z jakiegobądź powodu zależało?

— Nie, nie mam nikogo takiego — odpowiedział baron. — Któżby to mógł być?

— Nie chodzi mi tylko o te osoby, które stosownie do okoliczności stykały się bezpośrednio z dzieckiem. Nie, chcę sprawę ująć całkiem ogólnie i dlatego pytam, czy jest jaka osoba, którejby śmierć małego Rudolfa przyniosła jakąkolwiek korzyść? Może ze względu na spodziewany spadek? Pan mnie przecież rozumie?

— Bardzo dobrze, panie mecenasie, ale ja nie znam nikogo takiego.

— Dziękuję. Wobec kończących się przesłuchania świadków, przed zamknięciem postępowania dowodowego, proszę o pozwolenie obejrzenia dokładnie owego corpus delicti, tej flaszeczki z morfiny.

Doktor Ammarell podeszedł następnie do stołu, na którym złożone były akta rozprawy i obejrzał dokładnie flaszeczkę.

— Więc w takim stanie, w jakim ją tutaj widzimy, znalazł ją komisarz w ogrodzie? — zapytał po chwili.

Wezwano komisarza, który, zbadawszy dokładnie flaszeczkę, orzekł, że wygląda ona tak samo, jak ją w ogrodzie znalazł.

Obrońca powrócił w milczeniu na swoje miejsce. Postępowanie dowodowe zostało zamknięte, poczem zabrał głos prokurator, aby uzasadnić oskarżenie.

ROZDZIAŁ XIV.

— Wysoki trybunale i ławo przysięgłych! — zaczął prokurator. — Moje zadanie nigdy nie było tak łatwe, jak dzisiaj, a zarazem tak trudne. Łatwe jest o tyle, że mało jest procesów, w których bez przyznania się do winy oskarżonego, dowody, na podstawie których mamy orzekać według własnego przekonania, byłyby tak dokładnie i przekonująco ugrupowane jak w tym procesie. Nie brak ani jednego ogniwa w tym łańcuchu.

Następnie przeszedł prokurator do szczegółów sprawy. Opowiedział smutne dzieje oskarżonej, wielki zawód, jaki ją spotkał w pierwszym małżeństwie, opisał przywiązanie, jakie ona żywiła dla swego dziecka, szczegółowo omówił uprowadzenie go i odebranie przez opiekuna. Wskazał, że wszystkie te przejścia podrażniły tak oskarżoną, iż powoli zaczęła w jej duszy rodzić się myśl, która uporczywie powracała, że raczej woli widzieć swe dziecko nieżywym, niż w rękach opiekuna. Przytoczył na dowód rozmowę, jaką prowadziła oskarżona z dr. Burgerem, a następnie mówił podniesionym głosem:

— Pozwólcie panowie przysięgli, że logicznie przejdziemy wszystkie ogniwa dowodów. Oskarżona wobec dr. Burgera przedstawia swe prawa do dziecka i oświadcza, że miłość matki nie powinna się cofnąć przed ostatecznością, którą mogłaby być śmierć dziecka. Kiedy opuszcza lecznicę, zabiera potajemnie flaszeczkę morfiny z przypadkowo otwartej apteczki lekarza. Dziecko ciężko się rozchorowało, ona narzuca się na pielęgniarkę, zabiera ze sobą flaszeczkę z trucizną; wyjmując ją z kieszeni w sąsiednim pokoju, w chwili, gdy sędzi, że nikt jej nie obserwuje i przygląda jej się. Okoliczność tę stara się ona wprawdzie wytłumaczyć, ale fakt ten, jeśli się nad nim bezstronnie zastanowimy, wskazuje na zupełnie inne cele. Dlaczego bowiem, jeśli istotnie nie chciała użyć trucizny, a posiadanie jej ją przerażało, dlaczego — pytam — nie wylała wtedy zawartości flaszeczki, a jej samej nie wyrzuciła? Tymczasem stało się inaczej. Nie tylko nie pozbyła się flaszki, ale schowała ją starannie. W kilka dni potem staje się fakt inny, a wątpię, czy w tych